All communications must be addressed:

I.F. SMULSKI & Co.

565 Noble St.

CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI I Sp

wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c: do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Po kwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 7go PAZDZIERNIKA 1897 ROKU. Nr. 40

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 7 Października. Marka p. Piątek 8 Października, Brygidy. Sobota 9 Października, Dyonizego. Niedziela 10 Października, Francisz. Poniedziałek 11 Października, Emilii. Wtorek 12 Października, Maksymil. Sroda 13 Października, Edwarda.

Na Niedz. XVIII po Zielonych Świątkach.

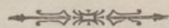
Ewangielia św. Mateusza w rozdziale IX.

W on czas: Wstąpił Jezus w łódkę, przewiózł się i przyszedł do miasta swego. A oto przynieśli mu powietrzem ruszonego na łożu leżącego. A widząc Jezus wiarę ich, rzekł powietrzem ruszonemu: Ufaj, Synu! odpuszczają się grzechy twoje. A oto niektórzy z Doktorów mówili sami w sobie: Ten bluźni. A widząc Jezus myśli ich, rzekł: Przecz myślicie źle w sercach waszych? Cóż jest łacniej, rzec: Odpuszczają się grzechy twoje? czyli rzec: Wstań a chódź? A iżbyście wiedzieli, że moc ma Syn Człowieczy na ziemi odpuszczać grzechy,tedy rzekł powietrzem ruszonemu: Wstań, weźmij łoże twoje, a idź do domu twego. I wstawszy, poszedł do domu swego. A ujrzawszy rzesze bały się i chwaliły Boga, który dał takową moc ludziom.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

MĘCZENNICY CHIŃSCY.

Przez **ks. A. W.**



Dokończenie.

Trzy piękne kobierce rozpostarli wielbiciele bohaterów.

Wtem Michał zwracając się do zgromadzonego ludu rzekł:

,,Ziomkowie bracia! Nim usta zastygną, jeszcze słów kilka przemówię do was. Nie mogę się puścić w mą daleką podróż, nie pożegnawszy się wprzód z wami, Bracia kochani. Niech to oko, co wnet zgaśnie, jeszcze chwil kilka na was mile spogląda. Wy wiecie, żem zawsze wysoko cenił prawdę, że jak serce czuło, tak język mówił, a gdybym kiedykolwiek miał się rozstać z prawdą, to te usta, co wnet będą martwe, nie kłamałyby teraz przynajmniej. Umieram — niewinny, jestem grzesznym człowiekiem, alem na miecz nigdy nie zasłużył. Umieram za wiarę, za sprawę św., umieram chcąc pozostać wiernym mym obowiązkom i dla tej samej przyczyny giną moi towarzysze. Ziemię, którą opuszczam i niebo, do którego spodziewam się dostać, wzywam na świadki, że chętnie me życie kładę. Wejrzyjcie na mnie, czy twarz zmieszana, czy ręce dygocą, członki drżą i język się jąka? Ale co więcej! — patrzcie na tego tu starca! Czy nie wesoła twarz jego? Starość go pochyliła, ale nie tchórzostwo. A rysy twarzy tego kapłana czyż są takie jak zbrodniarza, co stoi przed katem? Ale czyż z tego godzi nam się chlubić? Bynajmniej. Chrześcianina chluba w Panu i wielbi tylko Boga. Jemu niech będzie cześć i chwała, co nam udziela siły i mocy, byśmy mężnie ponieśli śmierć, cześć religii, która was uczy i

życiem i śmiercią gardzić.— I gdybym miał tysiące dusz, dałbym wszystkie chętnie, gdybym mógł was tak szczęśliwymi uczynić, jakim teraz jestem i jakim być pragnę, gdy miecz przetnie pasmo życia mego. Krew moję poświęciłbym do ostatniej kropli, członki dałbym na najsroższe męki, gdybym was mógł z ciemności zaprowadzić do światła, z nocy śmierci do słońca żywota''.

— Mandaryn każe mu milczeć, ale lud woła groźno: ,,On mówi dobrze, niech dalej prawi".

— Urzędnik na to zezwala, tak więc dalej ciągnął:

,,Jak lubo i mile spoglądać będę z Nieba na moją drogą ojczyznę, gdy tu kiedyś kościoły się wzniosą, ozdobione znakiem zbawienia; gdy krzyż jako drogi klejnot zdobić będzie pierś każdego Tonkina; gdy zabrzmią pienia na cześć Ukrzyżowanego; gdy słońce prawdy wznijdzie nad tym nieszczęśliwym krajem rozproszywszy zimną i ponurą mgłę cudowny cnót zasiew rozwijając; gdy się wszyscy jako bracia uściskają; gdy bogacz z ubogim chleb podzieli pomny, żeśmy wszyscy dziećmi jednego Ojca Niebieskiego; gdy szlachetna dziewica nędzarza i żebraka rany opatrzy, czuwając jak anioł przy jego posłaniu!"

— Jeszcze rzęsiste oklaski. Mandaryn rozkazuje po drugi raz milczenie, ale lud jeszcze groźniej woła: ,,On nas kocha, chce się z nami pożegnać, a tego mu nikt niech nie broni. Prawi jak mędrzec chiński, niechże dokończy".

— ,,Bracia moi, mówi Michał dalej, współwyznawcy tejże samej świętej wiary, zaklinam was na te rany, które w tej walce odebrałem, na ten miecz, który zbroczon będzie krwią naszą; zaklinam was na rany Tego, któremu w najgłębszej pokorze godzien nie jestem nóg ucałować; zaklinam was na krzyż, zroszony krwią naszego dobroczyńcy, Waszego Zbawiciela, wytrwajcie w waszej wierze, nie zapierajcie się Boga waszego, szanujcie krzyż! Patrzcie na nas! Dla Boga umrzeć jest lekko, słodko korzyścią. — A teraz dobranoc bracia moi! Ostatnie me słowo: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus w życiu i w śmierci, wśród pogody i szturmu, w pałacu i w więzieniu, w czasie i w wieczności".

— Ogólny podziw, rzewne rozczulenie i wpływ ogromny wywarła ta mowa. Powstał szmer, jakoby uwolnić chciano tych bohaterów. Potrójne koło żołnierzy otoczyło skazanych. Mandaryn zaś, któremu spełnienie wyroku poruczone było, rzekł z drżeniem:

,,Wiemy, żeście na śmierć sobie nie zasłużyli i radzibyśmy was oswobodzili, ale króla rozkaz jest koniecznością. Tego nam za zbrodnie nie poczytujcie. Nie domagajcie się u Boga waszego pomsty na nas''.

— ,,Chrystus Pan modlił się za swe krzyżowniki, a Szczepan za kamienujących. Niech P. Bóg będzie wam miłościw, niech wam da prawe uznanie, nie pomstujem na was, lecz błogosławimy was modląc się za was'', rzekł kapłan.

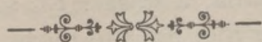
— Teraz trzech męczenników uściskało się, a kapłan udzielił im ostatnie błogosławieństwo. Uklękli z twarzą na zachód, zkąd przyszło zbawienie świata — przeżegnali się do modlitwy — straszna nastąpiła cisza grobowa. Dano znak, a po kilku chwilach trzej męczennicy już w niebie. Słychać głosy politowania. Tłum ludu przedziera się przez ściśnione szeregi żołnierzy, którzy daremnie szablami płazują nie mogąc powstrzymać natłoku. Toczy się walka o relikwie świętych; każdy pragnie posiadać po nich pamiątkę; kaci zaś opowiadają, że w chwili ciosu przecudowną uczuli woń.

— Ciała męczenników odprowadzili Chrześcianie do Vin-Fri, pięć mil od Vi-Hoang. Pochód nocny był prawdziwym tryumfem, do którego się kilka set Chrze-

ścian przyłączyło bez najmniejszej trwogi dając folgę czci i uwielbienia. Trzy tablice, na których był wyryty wyrok, niesiono jako trofea. Pochodnie oświetlały drogę, którą szły te trzy tabory. Stoły gwoli pokrzepienia niosących te drogie szczątki zastawiano po drodze, a we Vin–Fri odbył się uroczysty pogrzeb. Michała małżonka od każdego żałowana, od każdego czczona klęczała z dwojgiem dziatek u grobu ukochanych.

— Ośmioro Dicha dzieci dało świetną pogrzebową ucztę. Nie jeden kapłan odprawił z narażeniem życia w samotnej bambusowej chatce najświętszą ofiarę, a dziś każden Tonkin przechodząc około kurhanu z uszanowaniem odkrywał głowę.

— A gdy nie długo potem nieszczęście jakie nawiedziło tę okolicę, gdzie krew niewinnych wylano; gdy albo trąba morska, albo oberwanie chmur, albo straszny orkan albo wylew rozhukanego morza ogromne zrządzał zniszczenia, mówili wtedy mieszkańcy: ,,Krew sprawiedliwych woła z ziemi o pomstę do Nieba''.



Burzliwa podróż morska

Kazimierza Pułaskiego i jego towarzyszów do Ameryki.

(Podług powieści B. Bolesławity.)



Na pokładzie statku siedziało w milczeniu posępnem kilku ludzi. — Byli to podróżni już znużeni długiem morza kołysaniem, oczy ich pożądliwie wyglądały ziemi, ziemi nieznanej, ziemi swobody — dla wielu z nich tylko ojczyzny złota, gdzie człowiek mógł się sprzedać korzystnie.

Ściśnięci w gromadkę, pół siedząc, pół leżąc na zwojach lin okrętowych i rzuconych płaszczach, gwarzyli cicho polscy wygnańcy, to znów długiem milczeniem wypoczywali.

Byli to Kazimierz Pułaski, Karol Pluta i Maciej Rogowski.

Pierwszy z nich, mąż jasnej myśli, wielkiej ducha potęgi, teraz się zdawał złamanym i przybitym więcej, niż w ciągu całej podróży, w której sam drugich znużenie krzepił, zniechęcenie rozpraszał, nadzieje podtrzymywał.

Nie patrzał on w tę stronę, od której ląd nowego świata miał się im wkrótce pokazać, ale w przeciwną, jakby po za przebytym oceanem szukał snu, choćby straconej ojczyzny.

Na tym statku, co ich niósł od niej, czuł się jeszcze prawie w Europie, jakby w jakimś domu szczątku; za dzień, za dwa miał już stopą dotknąć nieznanego świata, ziemi wolności, ale zarazem wygnania.

Wszystkie odpędzane tęsknice po kraju rodzinnym, po przeszłości ze świateł i cieni utkanej, cisnęły się ku niemu, obsiadały piersi, zawisły na czole, przygniatały myśl znękaną.

Niekiedy rzadki gość na męzkiej powiece, łza się zakręciła w oku i nikła spalona. Usta czasem nieprzytomne, machinalnie poczęły jakby modlitwę, a myśl nadbiegła i ołtarz ów obaliła. Uśmiechało się lice i oblekało żałobą, krew napływała i uciekała od serca, jakby zapowiadająca się burza już i niem miotała.

Co też przeżył ów złomek człowieka od tej godziny, gdy z krzyżem na piersi wyszedł z ojcem i braćmi do Baru?? Upokorzenie, zwycięztwo nieprzyjaciół, niechęci i waśnie od swoich, zdrady, potwarze i ohydę. Ojciec zmarł, dobity niemi, bracia życie od-

dali w sprawie świętej, on jeden, gdy miał się pogrzebać żywcem w gruzach twierdzy.. rozkaz z góry wytrącił mu miecz i wskazał tułactwo, aby wypił czarę do dna.

I pociągnął skazany pod te pręgierze, na ten plac sławy i kary z pokorą posłuszną... opatrzność rzucała nim, jak trupem na zburzonej fali.

Walczą gdzieś za wolność, więc iść gdzie się za nią biją... wszakci to sprawa całej ludzkości jest wspólna... Wspomnienia tego kilkoletniego, a kilkowiekowem zdającego się tułactwa — oblegały biednego żołnierza. A nad nie wszystkie żywiej przypominała się Ukraina i Podole, lata młode, matka, co go w progu nowego życia błogosławiła, ojciec, bohater oplwany i wieczory pod lipami, na których klekotały bociany przyjaciele, i to szare niebo północy ze zgrzebnych domowych płócien utkane, w którego obsłonach zwierciedli się nasza tęsknica.

Przychodziły łzy po jednej na każdy ból, a odprawiał je nazad do serca, aby z niego nie wychodziły.

Obok niego siedzieli towarzysze przybici, wymęczeni swym smutkiem, podróżą i tęsknotą długą. Karol usiłował utaić w sobie uczucia, które nim miotały, choć z duszy odzywała mu się ta pieśń nie pozbyta wspomnień, do szału i rozpaczy rozgorączkowująca człowieka.

Rogowski nie wiele tam zostawił prócz grobów, a i jemu po wąsach płynęły łzy, które przeklinając odpędzał.

Karol poświęcił obowiązkowi przysięgłego ojczyźnie żołnierza wszystko, co w ofierze przekonaniom złożyć można, niżeli odda się życie.

Wśród tego milczenia i smutnych myśli wieczora niekiedy słówkiem odezwał się który z nich o Polsce, tylko o niej, o niej zawsze. Po licach przebiegł jakby promień światła, potem jakby chmura ciemna i znowu milczenie.

— Któżby to był mi powiedział, gdym chłopięciem biegał po polach w Raduczu, że mnie wiatry i miłość ku wam zagnają kiedyś aż do Antypodów! Rzekło się wprawdzie w Częstochowie — mówił Rogowski — że choćby do Antypodów za wami, ale dalipan nie myślałem wówczas, ażeby się to sprawdzić miało. —

— Hej! hej! ktoby mi był śmiał przeczyć, odparł Pułaski — że na murach jasnogórskich życia nie położę — miałbym go za oszczercę... ale losy człowieka to wiekuista zagadka. Bóg kazał inaczej — nie myślmy o tem — stało się.

Karol westchnął.

— Gdym wyjeżdżał do Tyńca lub Częstochowy, któżby zgadł, że się na ocean atlantycki zabłąkam. Lecz ta długa bezczynność i kontemplencya wód morskich... rano, w południe i na wieczór, zmordowały mnie... Gładka powierzchnia tej szyby nudzi, niecierpliwi... obmierzłe morze... Fala ruchawa niby, bałamutna, a zawsze toż samo... i człowiek przeciw niej nic nie może...

— Nie trzebaby jednak kłócić się z nią i mówić jej nieprzyjemności przed burzą — odezwał się Rogowski, na noc podobno zbierze się na dobrą przeprawę. Niedarmo kapitan Leclerc chodzi nasępiony jak mruk, nawet nie poświstuje, a płótno ściągają zewsząd. Uważałem to nieraz, że gdy tylko te szmaty poczną wałkować.... już coś złego.... grozi.

— Zbiera się na burzę to pewna, dorzucił Karol — chmury pędzą choć jeszcze daleko, wiatr dmie coraz gwałtowniej i nierówno, jakby się gniewał.... zły znak. Okręt jak łupina skacze po falach.

Głos kapitana Leclerc komenderującego mięszał się z szumem wichru, pluskiem fal coraz rosnących, ogromnych, spienio-

nych; z chrzęstem masztów i drzewa w samych wnętrznościach statku. Majtkowie zwijali się żywo, mrok zapadał, burza nadciągała widocznie.... Niekiedy w dali błyskawica jak wstęga złota przerznęła czarne obłoki i piorun przeleciał jak wąż w przepaście.... to znowu cichło, milczenie groźne dawało słyszeć nowy ryk nadchodzącej burzy, która rosła, wzmagała się, wyła i ustawała jakby sił do nowych szałów nabrać potrzebowała.

Milczenie naówczas straszniejszem było od szumów i wycia....

Wśród nadchodzącej wrzawy.... z pod pokładu dobył się nagle człowiek szpakowaty, ospowaty, niemiłej choć usiłującej przymilić się twarzy, małych oczek krecich, rysów ruchawych pulczynella, suchy, żylasty... Oparł się łokciami o deski, wystawił głowę zaspaną, obejrzał do koła, a obaczywszy chmury i poczuwszy wicher, który go opoliczkował, wyskoczył niespokojny na podłogę. —

Był to Gaskończyk, kapitan Girod, płynący jako towar do Ameryki, typ oryginalny człowieka na sprzedaż.... który tak wysokie miał, a przynajmniej okazywał o sobie wyobrażenie, iż mu się zdało, że byle dotknął stopą ziemi nowego lądu, a zagadać raczył do Washingtona, Amerykanie go złotem obsypią i na rękach nosić będą....

Girod roił o świetnej przyszłości. Ale burza w pobliżu lądu, a jeszcze nocą, przeraziła go niepomału, począł się obawiać o drogą swą osobę, zachmurzył i pobiegł do zasępionego Leclerca.

— Kapitanie! czy jest niebezpieczeństwo? na miły Bóg? czy jest niebezpieczeństwo?

Francuz nic nie odpowiadając nawet, ręką rzucił w powietrzu zniecierpliwiony, pozbywając się natręta.

— Burza, burza nadchodzi widocznie, ja się znam na tem jak na innych sprawach... wy to wiecie! A właśnie jesteśmy nieopodal od brzegów, nuż nas rzuci o skały, lub osadzi na mieliźnie.

O mało nie dodał: — Wieziesz Cezara i szczęście jego; — ale Leclerc odpędził go gniewny, rozkazując mu niegrzecznie iść do stu tysięcy djabłów. Naówczas przerażony Girod, czując w niebezpieczeństwie niepohamowaną potrzebę wygadania się, obrócił się do garstki Polaków.

Można sobie wystawić jak ta samochwalcza, awanturnicza postać wstrętliwą była dla Pułaskiego; rad się jej pozbywał, aby jak najmniej o tę żywą antitezę ocierać.

Ale Girod umiał być natrętnym aż do głuchoty i ślepoty dobrowolnej. — Dopadł do nich łamiąc ręce.

— To bałwan ten kapitan, on nas wszystkich pogubić może! Co panowie myślicie? to nie są żarty! Leclerc mruk ani się odezwie, prawdziwy rekin morski, czuję grożące niebezpieczeństwo ...

Wszyscy milczeli.

— Śliczna rzecz! przepłynąć Ocean, nadławić się morską chorobą a na brzegu dać nurka! Gdybym był wiedział, co się stanie.... byłbym został w San Domingo.... poczekał na inny statek....

Z nim ani pogadać, ani mu poradzić! Żeglowałem nie po jednem morzu.... pod noc w burzę.... nad brzegami....

Gdy Gaskończyk tak narzekał, maszty coraz mocniej trzaskały gięte od wichru, burza rosła, statek obnażony z płótna, rzucany falami, kołysał się, przechylał, skakał po pełnem morzu, na łaskę wiatru i wody oddany.

Miotało nim już tak, że ludzie na pokładzie choć nawykli do podobnych skoków, musieli się oburącz trzymać lin i drzewa, aby ich fala i wiatr nie zniosły. Bałwany coraz groźniejsze przeskakiwały statek, porywając z sobą co spotkały; Gaskończyk schronił się pod ławę klnąc i płacząc, nikt na niego nie zważał. —

Noc stawała się co chwila czarniejszą, przepaścistszą, zstąpiła z chmurami gęstemi, zdając się niebo przychylać tak, iż nad masztami zawisło. Nakoniec lunął deszcz ulewny a raczej strumienie wody rzuciły się z obłoków rozerwanych, pioruny bić zaczęły, a błyskawice nieustanne oślepiać.

Na pokładzie cisza była uroczysta, ludzie zmaleli, tulili się jak robaczki, po okrętu szczelinach. Każdy z nich zajmował swe miejsce milczący, z okiem wlepionem w linę, w maszt, w pompę, gdzie stał i co mu oddano do straży. Kapitan jak przyrosły do desek, niemy, obojętny, zimny, patrzał na ten szał żywiołów nie nowy dlań z zimną krwią, z chłodną powagą starego marynarza.... który nie jeden orkan przebył na Chińskich i Japońskich wodach.

Burza choć gwałtowna, nie była wszakże tą trąbą, porywającą i druzgocącą wszystko, z której cudem chyba statek wyjść może cało. Kładła ona okręt, rzucała go w przepaści, miotała nim w górę, ale walczyć z nią mógł rozum, męztwo i doświadczenie człowieka.

— I ta burza u brzegów to także nie najlepsza dla nas przepowiednia, rzekł Pułaski.

— Ktoby powiedział, szepnął Rogowski, że — jak mi Bóg miły, kochany wódz wierzysz w te banialuki.... Co ma za związek burza amerykańska z losem polskich wygnańców?

Ot to bieda, dodał, że zasnąć będzie trudno, bo hałasuje djable i z łóżka wyrzucić może.... a ta noc wyda się, jak czterysta lat długą.... Czeluści czarne.... chmurzyska gdyby całuny....

Girod jęczał i klął na przemiany.... modlił się nawet po cichu, na wszelki przypadek, gdyby gdzie jaki Pan Bóg się znalazł, choć w pogodę zwykł był chlubić się ateuszostwem ... Niekiedy głowę podniósł, w niebiosach szukając nadziei, to znów chował ją ze strachu....

Wściekły wicher okręt pędził, miotał nim, jak dziecinną zabawką.... Były chwile, że statek pochylony zdawał się wywracać i tonąć, to znów wzlatywał, odbity na grzbiecie fal i wyskakiwał w powietrze.... i wpadał w przepaście....

Szerokie błyskawice wszystko się zdawały zapalać do koła, ale w ich blasku nie widać było nic, oprócz piętrzących się fali i białej piany, która je obrębiała. Niekiedy otwierała się, jakby paszcza ogromna, spieniona i zdawała chcieć poźreć statek.... oblewała pokład, przelatywała przezeń i biegła dalej....

— Zważcie, proszę, rzekł, przesuwając się Girod — co za los mój! już miałem zapewnione szczęście, bylem się tylko na ląd dostał.... a tu.... sądny dzień.... to nie obejdzie się bez katastrofy. Jeszczem takiej burzy na morzu nie widział.

— A ta, co nas chwyciła u Antyllów, spytał Rogowski.

— Tamta! to była zabawka w porównaniu do tej piekielnej nocy....

Girodowi w biedzie gęba się nie zamykała, ale go nikt nie słuchał.

— To już fatalność jakaś, wołał — służyłem Fryderykowi Wielkiemu i tam mi djabeł przeszkodził do jeneralskich szlifów, choć stary Fryc poznał się na mnie i cenił; służyłem potem w austryackich dragonach i ztamtąd mnie intrygą wypchnięto, gdym już pewny był awansu.... *Cap de diou!* żałuję teraz, żem nie dostał się, jak chciałem, do Petersburga.... jest to kraj dziewiczy, potrzebują ludzi, jak ja.... do wszystkiego zdolnych... byli by mnie obsypali.... a morza nie było do przebycia.

Gaskon mówił sam do siebie, burza głuszyła jego paplanie.

Karol nie mogąc wysiedzieć bezczynnie, poszedł się kapitanowi ofiarować do ja-

kiej roboty.... i otrzymał zlecenie dozorowania ludzi przy pompie na dnie....

Burza zawsze jeszcze zdawała się zwiększać i rosnąć.

Pułaski niezmrużonem okiem patrzał na migocące błyski i bijące pioruny, płonęło od nich powietrze.... oślepiały chwilami... Uderzający grom w bliskości wyrywał źrenice, a ciemność nieprzebita, otchłanna, długo nic rozpoznać nie dawała.

Świat się palił wśród potopowej ulewy a mimo grozy tego widoku był on wspaniałym i wielkim. Światłości i cienie składały się na obraz, jakiego wyobraźnia stworzyć nie może, coraz różny, coraz groźniejszy. Błyskawic światło odbite w falach i rozprysłych kroplach, jakby iskier tysiącem obsypywało statek.

— Majestatyczny widok daje nam ocean na pożegnanie — odezwał się cicho Pułaski.... ale co za upokarzające położenie człowieka, który w obec śmierci nie może walczyć, z założonemi rękami czekać musi losu swojego, — bezwładny! Wolę burzę wojenną.... hufce, tłumy, kule, strzały... tam jestem z szablą w ręku.... tu spowity, jak dziecko.

— To też Karol, poczciwy chłopak, nie mogąc walczyć z piorunami i burzą, odezwał się p. Maciej, poszedł podobno do pomp, byle się komu sprzeciwić, a coś robić.

— O! zacneż to młode stworzenie, dodał Pułaski.... a jak mi go żal, że dla mnie i ze mną idzie na stracone imię.... Ale na pociechę, żebyż się już dostać do konia, obozu, roboty....

— Tak, tak, przerwał Maciej, byle nie na dno morza, do tych zębatych rekinów.... co ciągle za okrętem płynęły, czując co nas czeka.... podwieczorku im się chciało....

Okręt hecę wyprawia, jakiej nie bywało.

W tej chwili trzask silniejszy się rozległ i oślepiający błysk oczy im zakrył — ogień strumieniem przeleciał po jednym z mniejszych masztów, i strzaskany słup upadł na pokład okrętu....

Szczęściem nie zapalił go, a majtkowie rzucili się natychmiast, aby szkodzie zaradzić.... W chwili trwogi Girod wyleciał z pod ławy, wołając: — Giniemy! giniemy...

— Milczże Waść, ofuknął Pułaski. Gdzie siła Boża z ludzką słabością idzie w zapasy, tam i o łasce Bożej pamiętać potrzeba....

Po chwili krótko trwałego przerażenia już resztki masztu ściągano; nikt rażonym nie został, a strata łatwo się zapaśnym masztem wynagrodzić dała.

Piorun ten zdawał się być zwiastunem końca burzy.... błyskawice stawały się rzadszemi, wicher opadał powoli, deszcz lał tylko rzęsisty.

Nad głowami ich chmury się rozbijały, dzieliły, niebo gdzieniegdzie przeglądało jaśniejsze, a choć wicher jeszcze straconą odzyskiwał siłę, koniec tych szałów jego przewidywać było można. Okręt z walki wyszedł zwycięzko.... Głos kapitana znowu się dał słyszeć, majtkowie śmielej zwijali się po pokładzie; na horyzoncie dalekim, jakby linią czarną, odcięło się morze od niebios jaśniejszych.

Francuz obejrzawszy się, ośmielony całkiem z pod ławy się dobył, i weselszy, raźniejszy zbliżył się do Pułaskiego, z uśmiechem zwycięzkim na ustach. Statek rzucał się jeszcze, ale fale już nie były tak rozhukane, głębie nie roztwierały się głodne.... kołysał się na wierzchach wzdętych bałwanów, a rzadko większy z nich zaglądał przez ściany do wnętrza....

Teraz cichło już i łagodniało morze, fale jeszcze szeroko były rozkołysane, ale niebiosa już się widocznie rozpogadzały.

Przez podartych chmur reszty, które doganiały starsze towarzyszki swoje.... gwiazdki ciekawie ku morzu patrzały....

Obłoczki coraz lżejsze, rozczochrane, zmęczone, odlatywały w stronę, w którą burza na ocean się zwaliła....

Wzięto położenie statku i obrachowano gdzie się znajdował, a Leclerc przekonał się, że był daleko bliżej lądu niż się spodziewał. Było już dobrze z północy, wiatr upadając znacznie, dozwalał nieco rozpiąć żagli, można było rachować, że ze dniem pokaże się ziemia....

Jak tylko nieco uspokojone dozwoliło powietrze, rozwinięto żagle, zaczęto je pomnażać stopniowo i nagie liny statku okryły się powoli rozpiętemi skrzydły. Załoga była doświadczona, ludzie zwinni i ochotni, okręt posłuszny, i choć miotające nim fale przerzynać musiał, wiatr mając ukośny, pospieszał znowu ku brzegom Ameryki.

Nad świtaniem gdy wszelkie minęło niebezpieczeństwo, podróżni znużeni od kajuti hamaków na spoczynek się porozchodzili tylko polscy wygnańcy bez snu na oczach pozostali na pokładzie, poobwijani w burki i płaszcze, zobojętnieli na sen i spoczynek.

Karol spracowany, oblany potem, wrócił od pomp i padł przy swoich na pokład... Jakaś tęsknota niezmierna, jakby przeczucie złych losów opanowała umysły — rozmowa nawet o domu się nie kleiła.

Tak na wpół drzemiących, pół sennych i rozmarzonych smutnie zastał poranek, który na wypogodzonem niebie zabłysnął. — Morze poruszało się jeszcze zagniewane i wzdęte, ale nic nie groziło już *Pięknej Ludwice* — tak się nazywał okręt, na którym jechali — oprócz angielskich statków. Cała osłoniona białemi żaglami od góry do dołu, strojna, wesoła, pędziła ku nowemu światu.

Uroczyste było milczenie, gdy z wierzchołka kosza na maszcie porucznik statku zawołał:

— Ziemia!!

Okrzyk ten powtórzony w mgnieniu oka stem ust, zelektryzował wszystkich.... porwali się podróżni zewsząd, pobudzili, zbiegli patrzeć.... a Pułaski starym obyczajem, jak zawsze w przeddzień ważnej godziny, pokląkł na pokładzie, zdjął czapkę z głowy i sparty na kolanie.... począł po cichu.... Kto się w opiekę....

Karol i Rogowski poszli za jego przykładem, reszta czeredy zbieranej po świecie patrzała urągliwie na tę ich jawną pobożność.

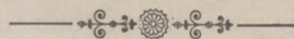
Wielu z nich może miało jeszcze w sercu religijne uczucie, ale odwagi do okazania go nie miało.... inni postradali ją a nie zyskali nic za nią, prócz dziwacznych zabobonów.

Ziemi tej zapowiedzianej dla oczów nieprzywykłych do jej szukania — nie było... na widnokręgu.

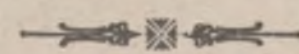
Coś w dali jakby pas sinych chmurek leżących na morzu szarzało. Ale z każdą chwilą ta mgła stawała się wyraźniejszą, dobitniejszych nabierała kształtów.

Tak.... był to nareszcie świat nowy. Serca się ścisnęły. Co Bóg da na tym nowym świecie, dolę czy niedolę.... śmierć czy zwycięztwo?

— *Fiat voluntas Tua!* — Niech się stanie wola Twoja! zawołał głośno Pułaski.



Pan Bóg stwierdza wielkim cudem, że w Przenajświętszej Hostyi jest prawdziwe Ciało i Krew Jezusa Chrystusa.



Wiara zastąpi czego zmysły nie pojmują.

(Hymn kościelny).

Licznemi niezaprzeczonej powagi cudami stwierdził Pan Bóg tę pocieszającą prawdę, że w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza znajduje się rzetelnie Jezus Chrystus jako Bóg i Człowiek. Duch ciemności różnemi wybiegami stara się często zachwiać

wiarę względem tej najszczytniejszej Tajemnicy; ale Jezus Chrystus Słońce sprawiedliwości, objaśnia ją Boską światłością swoją. W historyi Kościelnej znajdujemy wiele przykładów tego rodzaju. Podajemy tu jeden z najbardziej udowodnionych.

Czytamy w kronikach zakonu św. Hieronima, że Wielebny Piotr przełożony Klasztoru w Guadalupie, cierpiał wielkie pokusy względem prawdziwej obecności Pana Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie; a chociaż mężnie walczył z potęgą piekła i dla tego zapewno nie grzeszył, nie mógł się jednak oprzeć bolesnej wątpliwości.

— Jakto być może, — myślał sobie, — żeby w Hostyi znajdowała się Najświętsza Krew Zbawiciela, kiedy nie widzimy purpurowego koloru ani kropel spływających z poświęconego Chleba....? Tak udręczony i zbolały świątobliwy ten zakonnik, wołał o ratunek do Matki Boskiej, którą czcił serdeczną miłością i za Jej przyczyną Pan Bóg wielkim cudem pocieszył go i uspokoił.

Pewnej Soboty odprawując Mszą św., po konsekracyi, gdy według zwyczaju nachylony odmawiał modlitewkę: ,,Błagamy Cię Wszechmogący Boże i t. d.“ — podnosząc się ujrzy obłok cudowny osłaniający ołtarz. Przelękniony, mniemając że to obraz jego zaślepienia, nie śmie dalej sprawować Najświętszej Ofiary, tylko błaga Boga o miłosierdzie, o światło.... gdy oto obłok powoli wznosi się w górę. Tak było z Mojżeszem. Księgi święte mówią, że obłok jasny okrywał Arkę Przymierza, gdy Mojżesz modlił się przed nią; a gdy odchodził, obłok znikał.

Zaledwo kapłan się uspokoił, gdy oto nowa pada nań trwoga; postrzega, że Hostyi poświęconej niema na ołtarzu; palka znikła, kielich nienakryty, próżny.... któż zdoła wyrazić jego przerażenie!.... drżący, zalany łzami, korzy się przed Bogiem, wyznaje, że dla małej wiary nie godzien piastować Chrystusa w Sakramencie miłości, serce Mu skruszone ofiaruje mówiąc z prorokiem: ,,*Sercem skruszonem i upokorzonem Boże nie wzgardzisz!*“ Błaga Królowej Niebieskiej, Matki miłosierdzia, by się za nim wstawiła do Syna swego i nie był zawiedzionym; wnetże ujrzy w jasności spuszczającą się z góry patenę a na niej promieniejącą Hostyę, która zatrzymuje się nad kielichem — i oto spływa z niej Krew Przenajświętsza tak obficie, że kielich napełnia się ile bywa wina przy konsekracyi; Hostya potem spoczęła na korporale a palka sama kielich nakryła.

Sługa Boży żywo przejęty czcią i miłością na widok takich cudów, nie wie wszakże co ma dalej czynić, gdy usłyszy głos do niego mówiący.

— Dokończ świętej Ofiary i zachowaj w tajemnicy coś widział. Pan Bóg chciał ci okazać, że w Hostyi znajduje się prawdziwe Ciało i Krew Chrystusowa.

Zakonnik zamilczał o wszystkiem; ani sługa ołtarza, ani wierni obecni w kościele niczego się nie domyślali, chociaż bardzo zdziwieni byli widząc łzy, rozrzewnienie kapłana jako i przedłużenie Mszy św. Umierając jednak czcigodny Opat, dla chwały Bożej i pożytku dusz, opisał własnoręcznie to zdarzenie, oświadczając, że od tego czasu mocno był utwierdzonym w wierze o rzetelnej obecności Jezusa Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie i żadne pokusy szatańskie szkodzić mu nie mogły.

Niechże przez to i nasza wiara się ożywi, niech się rozbudzi gorąca cześć i miłość ku Jezusowi w Hostyi ukrytemu. Mając Boga w pośród siebie składajmy Mu hołdy nasze, uwielbiajmy Go z pokorą nie badając głębokości Tajemnic Jego. Wiemy wszakże, że Pan Bóg jest wszechmocnym, może zatem — jak mówi ś. Augustyn, — czynić cuda, których my nie pojmujemy.

NIEZNANY POCIESZYCIEL I WYBAWCA.

(Z życia Piusa IX.)

Było to w Rzymie w roku 1824, kiedy 17to letni młodzieniec imieniem Gaetano, skazany na śmierć, szedł na miejsce stracenia. Zdarzyło się, że właśnie tamtędy przechodził jakiś młody kapłan, który wzruszony młodością i słodyczą malującą się na twarzy skazanego, a bardziej jeszcze jego odwagą i spokojem, z jakim poddawał się smutnemu wyrokowi, prosił strażników, którzy prowadzili młodzieńca, by zwolnili kroku. Otrzymawszy przyrzeczenie, że będą szli ze skazanym powoli, pobiegł śpiesznie do Watykanu, gdzie wstawiając się gorąco za nim, wyjednał u papieża pisemny dekret zamieniający karę śmierci Gaetana na dożywotnie więzienie. Opatrzony takiem pismem, wraca czemprędzej i śpieszy w stronę, gdzie prowadzono skazanego. Dopędziwszy pochód oddaje rozkaz papiezki dowódzcy straży, który przeczytawszy go, zaprowadził Gaetana do więzienia na zamku świętego Anioła.

Młody ten ksiądz nazywał się Mastai i był to ten sam, który we 22 lat później został papieżem pod imieniem Piusa IX. Pomimo tylu lat nie zapomniał on Gaetana, a co więcej, umyślił wyszukać go w więzieniu, aby się przekonać, czy był godnym jego litości, a zarazem aby zobaczyć jak się obchodzono z więźniami. Pierwiej jednak posłał Pius po matkę Gaetana, która jeszcze żyła, a której opowiedział, co uczynić zamierzał. W kilka dni potem ubrany jako zwykły kapłan udał się potajemnie wieczorem na zamek Anioła, gdzie nieszczęśliwy Gaetano od 22 lat szczerze pokutował za błąd, którego się dopuścił nierozważnie w młodym wieku. Smutne było jego życie, gdyż oddzielony od ludzi, oddawna żadnej nie miał wiadomości o swej matce, rodzeństwie, przyjaciołach i znajomych. Dozorca tego więzienia, człowiek niedobry, zobaczywszy papieża, którego wziął za zwykłego księdza, nie chciał go dopuścić do Gaetana, ale Pius IX opatrzył się był w pisemne pozwolenie. Nie mógł się przeto sprzeciwiać, i szemrząc, zaprowadził nieznanego gościa do więźnia.

Widok jego zatrwożył młodzieńca, który drżącym głosem zapytał nieznanego kapłana, czegoby od niego pragnął?

— Przynoszę ci wiadomość od twojej matki — rzekł gość.

Na to imię, tak drogie sercu biednego więźnia, uradował się wielce Gaetano i zawołał:

— Jakto? ona żyje jeszcze? — dzięki Bogu.

— Tak jest. Żyje jeszcze — odrzekł Pius — i ona to mię tu posyła, by ci przynieść nadzieję lepszej doli.

Na te słowa rzuca się Gaetano na szyję księdza, który go z miłością przyciska do serca. Po chwili zawołał:

— Przecież Bóg zlitował się nademną, kiedy mi przysyła anioła pocieszyciela.

Tu biedny więzień zaczął opowiadać papieżowi życie swoje w więzieniu spędzone, gdzie ani głosu przyjaznego, ani pociechy dla serca od tak dawna nie doznawał.

— Powinieneś był napisać do Ojca świętego — mówił Pius IX — i prosić o przebaczenie za błąd popełniony w 17 roku życia.

— Pisałem — odrzekł więzień, lecz listy moje zostały bez odpowiedzi.

— Napisz jeszcze raz — mówił znowu Pius.

— Napisałbym, ale nie wiem czy Grzegórz XVI odbierze list mój.

— Grzegorz XVI nie żyje już, mój Gaetanie — odrzekł gość — następcą jego jest Pius IX.

— Ale któż mu odda list mój?

— Ja sam doręczę mu. Masz tu ołówek i papier, siadaj i pisz.

Gaetano usiadł i napisał list pełen pięknych i szlachetnych uczuć i oddał go nieznajomemu pocieszycielowi, który mu przyrzekł, że tegoż dnia jeszcze przed nocą papież odbierze list jego. Potem pożegnał go, a odchodząc rzekł:

— Bądź zdrów, mój przyjacielu, módl się za Piusa IX.

Tej chwili właśnie wchodził do więzienia dozorca krzycząc i przeklinając z gniewu, że gość tak długo bawił u więźnia.

— Nie godzi się przeklinać — rzekł kapłan — gdyby papież o tem wiedział!

Dozorca poruszył ramionami, mówiąc:

— A skądżeby się mógł dowiedzieć o tem papież, który mnie nie lubi tak samo, jak ja jego nie kocham.

— Mylisz się bracie — odrzekł ksiądz — Pius IX kocha wszystkich. Jak się nazywacie?

— A cóż to kogo może obchodzić — rzekł dozorca, dodając złośliwie: Proszę się wynosić.

Ojciec święty wyszedłszy, poszedł do dowódzcy zamku, który podobnie jak dozorca, nie poznawszy Piusa, powitał go niegrzecznie i pytał, czegoby chciał od niego?

— Przychodzę prosić o uwolnienie Gaetana.

— Ksiądz żartuje — zawołał dowódzca — wszak tylko papież może uwolnić więźnia.

— To też ja od papieża tu przychodzę — mówił nieznajomy kapłan.

A gdy ten uwierzyć nie chciał, usiadł Pius i napisał te słowa: ,,Uwalniam Gaetana, rozkazuję zarazem dowódzcy zamku św. Anioła, ażeby natychmiast wypędził nieludzkiego dozorcę — i podpisał: ,,Papież Pius IX''. Zawstydzony i zmięszany dowódzca przeprosił Ojca świętego za swą niegrzeczność. Gaetano uwolniony tego wieczora jeszcze, uściskał swą matkę. A zły dozorca oddalony z zamku, po dwóch miesiącach otrzymał inną posadę, przyrzekłszy poprawę, czego też wiernie dotrzymał.

Syn marnotrawny.

Niedawno temu powrócił po 23 latach niebytności, pięćdziesięcioletni, zamożny człowiek wraz z rodziną, żoną i dziećmi do rodzinnego miasta F.

W roku 1863, on, syn zacnych mieszczan, zabrawszy pokryjomu całą gotówkę rodziców, mając lat 28, umknął do Ameryki. — Szczęście, jak to mówią, sprzyjało mu, ale żadne bogactwa nie zdołały mu wrócić pokoju serca, ani robaka sumienia zaspokoić.

Aby więc rodziców obaczyć i zgładzić wielką swą winę, postanowił powrócić do ojczyzny. Miasto stało na tem samem miejscu, ale z domu rodzicielskiego ani ślad nie pozostał. Już w roku 1872 pomarli rodzice wskutek zgryzoty i niedostatku.

Starzec, który go poznał, zaprowadził go na grób rodziców, gdzie się odegrała scena bardzo wzruszająca.

Skoro obaczył grób ojca bez żadnej ozdoby, niewymowna boleść napełniła serce jego. Targał włosy na głowie, rzucił się na grób i płakał najrzewniejszemi łzami pokuty. Daremnie żona i dzieci starały się go pocieszyć i uspokoić. Na grobie matki ta sama scena się powtórzyła.

— Matko, biedna moja matko! haniebnie oszukana matko! Pragnę twego przebaczenia! Chcę wszystko naprawić, wołał złamany. Z wielką trudnością mogły go żona i dzieci uspokoić.

W kilka dni po tej scenie, widziano groby rodziców bogato ozdobione, a zakłady miłosierne otrzymały od marnotrawnego syna jako przebłaganie, znaczne sumy pieniężne.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

Nadesłane do "Dnia Świętego."

SIEROTA.



Błyszczały gwiazdy na niebios szczycie,
Noc mglistym zmrokiem ziemię pokryła;
Tam na ustroniu cicho i skrycie
Dziecina mała łezki roniła
I ze żałosnem, jękliwem echem
Płaczliwe trele wciąż zawodziła,
Z ciężkiem westchnieniem, słabym odde-
Rzewliwie gorzkie żale kwiliła: [chem

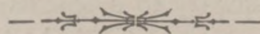
"Gdzież ja się biedny teraz podzieję,
Któż mię do serca swego przytuli,
Któż mi powróci moje nadzieje,
Któż mię niebogę w płaczu utuli,
Ojca i matkę któż mi zastąpi,
Za siostry, braci któż mi dziś stanie,
Kawałka chleba któż nie poskąpi,
Któż o sierotę weźmie staranie?

Czarne się chmury snują przedemną,
Swiat obojętnem spoziera okiem
I nad mą dolą, srogą, ujemną,
Nikt nie boleje w świecie szerokim.
Och! opłakany jest los sierocy,
Ciągle z ócz krwawe łezki wyciska!...
Ni błogiej chwili, spokojnej nocy;
Srogie los ze mnie czyni igrzyska.
I chyba dla mnie grób lepszym będzie,
Ziemia mię w łonie swojem utuli,
Zaraz się serce cierpień pozbędzie.
Nie zaznam więcej kłopotów, bóli,
Bo w grobie zimnym, w życia zastoju
Swiat już nie nudzi, smutki nie dręczą,
Tam będzie błogo spocząć w spokoju,
Bo tam szyderstwa w uszach nie brzęczą".
To wystękawszy dziecina mała
Na grób matuli swej pospieszyła,
Tam na twarz padłszy grób otulała,
W którym matuchna droga spoczęła,
I słabym głosem, z miną bolesną,
"Matulu moja, matulu miła...
Racz mą ukoić dolę nieszczęsną" —
Jękła i życie swoje skończyła.

* * *

Głucho w około, wiatr tylko wyje,
I ani słychać świegotu ptaszyny.
Może ów wietrzyk matuli głos kryje,
Jak wzywa do się duszkę dzieciny.
Mrok nocny zeszedł, poranek świta,
Sierotka jeszcze na grobie leży
I z bladej jej twarzy każdy wyczyta,
Że już nie wzdycha do swej macierzy.
Wkrótce w tę stronę zmierzywszy kroki,
Szedł grabarz, stanął obok mogiły,
Zaraz zobaczył zimne już zwłoki,
Których uśmiechem liczka kwitnęły,
Popatrzał trochę, się lekko rozżalił,
Nad martwem ciałem łezkę uronił...
Położył w trumnę, ziemią przywalił
I od cierpienia grubo zasłonił.
Po śmierci dziecka świat tylko wspomniał,
Że już przybłęda mały nie żyje,
Wkrótce i o tem każdy zapomniał,
Wiatr tylko po nim czasem zawyje...

Roman Adamski.



Amna, pobożne dziewczę murzyńskie.

Pobożne to dziecko było jednem z tych, które ksiądz Mikołaj Oliwieri w Afryce z niewoli wykupił. Przywiózł je w roku 1853 do Włoch i oddał na wychowanie zakonnicom klasztoru pod wezwaniem Nawiedzenia Maryi Panny w Pinerelo w Piemoncie. To co o niem wiemy, spisała po śmierci pobożnego dziecka sama przełożona klasztoru. Przed chrztem św. otrzymało imię Józefy. Życie dziewczęcia było pełne boleści i krótkie, jednakże pełne łaski Bożej, co się z niniejszego opisu wykaże.

I.

Amna opowiada o swych dziecięcych latach.

Pewnego dnia prosiła jedna z zakonnic dziecko, aby jej powiedziało, w jaki sposób przybyło z swej ojczyzny w Afryce do klasztoru. Na to rozpoczęło dziewczę następujące opowiadanie: ,,Matka moja była piękną, lecz czarną. Miała ona wiele, wiele kobiet do swej usługi. Ojciec mój był pięknie ubrany, jednak nie tak jak Turcy, lecz jak Arabowie podczas wielkich uroczystości. Ponieważ byłam jego jedynem dzieckiem, kazano mi się bawić w podwórzu. Jedna z kobiet zamykała zawsze drzwi, z obawy, aby nie wszedł jaki rozbójnik i nie zabrał mnie.

,,Pewnego dnia gdym się na podwórku bawiła, usłyszałam poza sobą kroki, a obróciwszy się ujrzałam rozbójnika, niosącego na plecach krwawy miech a w ręce nóż długi. Skoczyłam w tej chwili na nogi, aby uciekać i krzyknęłam. Człowiek ów jednak

schwycił mnie za rękę i powiedział: — Jeżeli będziesz krzyczała, utnę ci głowę i schowam w ten tu oto miech. —

,,Usłyszawszy to przestałam ze strachu płakać. Serce moje tak jednak silnie biło, żem zaledwie mogła oddychać. Rozbójnik ów wziął mię na ręce i uszedł ze mną.

,,Gdyśmy się kawał drogi od domu oddalili, postawił mnie na ziemię, wziął za rękę i tak musiałam za nim szybkim krokiem biedz; wkrótce od znużenia padałam prawie. Mając krótsze nogi od niego nie mogłam przecież robić takich kroków jak on a przytem droga nasza była pełną ciernistych kolców, tak że krew z nóg obficie mi się lała.

,,Gdy więc ów brzydki rozbójnik zobaczył, że rzeczywiście nie mogę się z miejsca ruszyć, wziął mnie znów na ręce i zaniósł do swego domu. A gdy jego żona zobaczyła, żem taka mała, posadziła mnie koło siebie i powyciągała z nóg ciernie. Następnie dała mi kawałek chleba, który wprawdzie zjadłam, lecz ciągle myślałam o moim ojcu i matce.

,,Po przebyciu kilku dni w owym domu, związał mnie rozbójnik z kilku innemi ukradzionemi dziewczętami i posadził nas wszystkie na wielbłądy. Podróż nasza ciągnęła się bardzo długo. Nawet na noc nigdzie się nie zatrzymywaliśmy. Pewnego razu zerwał się powróz, którym byłyśmy związane. Upadłyśmy wszystkie na ziemię. Człowiek, który wielbłąda prowadził, kopał nas nogami i bił pięściami, jakbyśmy były czemu winne. Powiązano nas powtórnie i wsadzono na wielbłąda.

,,Płakałyśmy; wskutek czego tak się rozbójnik rozgniewał, że nam rzadko kiedy jeść dawał! Był razem z nim inny człowiek. Ten nam czasem dał kawałek chleba. Najwięcej dolegało mi słońce, którego promienie prosto na głowę mi padały, a byłam z gołą głową. W domu dano mi zawsze jakie nakrycie na głowę.

,,Następnie sprzedał mnie rozbójnik innemu, który był jeszcze gorszy. Ten bił mnie bardzo często a do tego musiałam głód znosić. Musiałam u niego paść owce. W czasie gdy owce trawę skubały, słyszałam nieraz wycie dzikich zwierząt, (bezwątpienia lwów, hyen i innych dzikich zwierząt, których w owych okolicach nie brak). Trzęsłam się ze strachu i myślałam: — Teraz nadejdą owe straszne zwierzęta i pożrą cię. — Byłam z głodu bardzo słaba a do tego w ciągłym strachu, bom te drapieżne zwierzęta z daleka widziała. Jedno z nich miało długi ogon, inne znów ręce i nogi jak człowiek. A miałam przecież takie krótkie nogi, żem nie mogła za owcami zdążyć, chociaż przeszły na pastwisko innego właściciela.

,,Gdy pan mój widział, że za długo nie przypędzam owiec do domu, poszedł po mnie i bił mnie kijem za to, że nie potrafię ich paść. Ponieważ przekonał się, żem niezdolna do paszenia owiec, odsprzedał mnie pewnemu Turkowi.

,,Turek ów zaprowadził mnie do swego domu; było w nim wszystko bardzo piękne. Po kilku dniach rzekł do mnie Turek: — Sprzedam cię, ponieważ jesteś za mała i nic nie mogę z tobą począć.

,,Krótko potem przybył ów biały człowiek (ksiądz Oliwieri), kupił mnie, wziął mnie na ramię i zaniósł na okręt. Byłam u niego taka szczęśliwa, żem płakała, gdym go chwilę nie widziała. Następnie zawiózł nas do Turynu. W końcu udzielił mi swego błogosławieństwa i uściskał mnie. Potem wsiedliśmy na wóz i przybyliśmy tu dotąd.

II.

Amny naturalne skłonności.

Dziewczę było z natury nieco zmiennego usposobienia i dumne. Że jednak była nader rozumna, potrafiła w właściwy sposób

tak ludzi ujmować, że jej wolę spełniano. Samowolę tę złamać było dla niej najcięższą ofiarą. Niezadługo jednak za łaską Bożą i to zwycięztwo nad sobą odniosła.

Biedne dziecko nie cieszyło się nigdy dobrem zdrowiem, z którego to powodu mimo wielkich skłonności nie mogło się zbytecznie oddawać nauce. Atoli katechizmu uczyła się Amna z bardzo wielkiem zamiłowaniem i gorliwością. Także w bardzo krótkim czasie wyuczyła się języka włoskiego a jeszcze prędzej czytać i pisać po włosku. Mimo swego chorobliwego stanu garnęła się do nauki jak mogła.

Szczególnie lubiała Amna czystość i porządek. Zawsze chodziła w porządnem i czystem ubraniu i nie znosiła na niem najmniejszej plamki. Lubiała bardzo, aby ją pieszczono, nie trzeba jej było jednak przytem wcale dotykać, w przeciwnym razie zaraz wołała:

— Wolno, uważaj co robisz; podusisz mi kołnierzyk, zrzucisz mi mój czepeczek; ach, nie znoszę, gdym jest nieporządnie ubrana.

Gdy leżała w swem łóżeczku, tak samo nie znosiła najmniejszej plamki. Kołdrę kazała sobie mocno uciągnąć, aby nie było na niej najmniejszej fałdki.

Uważaj, abyś nie podusiła mi łóżka, nie powalaj mi kołdry, gdyż bardzo nie cierpię brudnej pościeli.

To były jej pierwsze słowa do każdego, kto się zbliżał do jej łóżka.

Pewnego dnia zawołano ją do rozmownicy; ażeby ją jak najprędzej tamdotąd wyprawić, włożono jej na zwyczajną sukienkę inną, która jednak pierwszą nie zupełnie pokrywała. Z tego powodu dziewczę początkowo wcale nie chciało iść; na rozkaz jednak przełożonej udała się natychmiast do rozmownicy.

Ciąg dalszy nastąpi.

Żyd nawrócony.

Święty Tomasz z Wilanowy, Arcybiskup Walencyi, który żył w XVI wieku, opowiada, w jaki sposób podobało się P. Bogu objawić tajemnicę Najświętszego Sakramentu dwom żydom.

Pewnego dnia, w którym święty ten Arcybiskup odwiedził znanego sobie starca będącego na łożu śmiertelnem i mówił mu o miłosierdziu Bożem, rzekł starzec:

— O tak! Bóg okazał wielkie miłosierdzie nademną. Urodzony z rodziców żydowskich, znałem religię chrześciańską według pojęć żydowskich tj. uważałem ją za sektę najobrzydliwszą.

Pewnego dnia, gdym podróżował z drugim żydem, obaczyłem cud na własne oczy. Mówiliśmy o Mesyaszu, dziwując się, że się tak ociąga z przyjściem, którego tak gorąco pragnąłem. Wtem błysło jasne światło w obłokach a na tle tego światła ujrzeliśmy kielich i Hostyę zupełnie taką, jakeśmy widzieli w kościołach chrześciańskich.

Upadliśmy na kolana i zaczęliśmy się modlić. Podczas modlitwy pierwsze promienie wiary przenikły mą duszę. Poznałem, że upragniony przezemnie Mesyasz już przyszedł, że tym Mesyaszem nie jest kto inny, jak tylko Jezus Chrystus, który ustanowił Najśw. Sakrament.

Taki był początek mego nawrócenia. Mój towarzysz udał się do innego kraju i niewiem, co się z nim stało, ja zaś przyjąłem wiarę chrześciańską i spędziłem me życie w katolickiej Hiszpanii; tu też za łaską Bożą umieram. Tak jest, Bóg okazał wielkie miłosierdzie nademną.

— Te cuda, dodaje święty Biskup, są bardziej potrzebne dla niewiernych, jak dla nas; my mamy słowo Jezusa Chrystusa i światło wiary; my nie potrzebujemy cudownych objawień.